

MIĘDZY MUZYKĄ A POEZJĄ

Seminarium nauczycielskie

Do seminarium nauczycielskiego poszedłem w roku 1928 z niezłym kapitalikiem: z użyteczną w tej szkole umiejętnością początkowej gry na skrzypcach i z ozdobą jedynie, którą stanowił niezłe opanowany w słowie i w piśmie język francuski. Muzyki uczył mnie bezinteresownie jeden ze znajomych najstarszej siostry. Podstawy francuskiego posiadałem w wydziałówce u znakomitej nauczycielki, a do perfekcji doszedłem poza szkołą, ucząc się w zamian za nasze domowe obiady („naje się siedmiu, to naje się i ósmy”) u starej emerytowanej nauczycielki, mademoiselle Antoniny Jastrzębiec-Klepaczewskiej (cała tytułatura ściśle obowiązywała) i z dodatkową pomocą najmłodszej siostry, która miała dużą łatwość opanowywania języków obcych, zresztą później została filologiem angielskim.

Muzyczna strona wykształcenia seminaryjnego była niesłychanie ważna, władze szkolne wychodziły bowiem ze słusznego założenia, że działając przeważnie w środowisku wiejskim, nauczyciel musi prowadzić wszechstronną działalność kulturalną, a więc między innymi pielęgnować pieśń i taniec ludowy, opiekować się domorosłymi kapelami, prowadzić chór. Dodajmy, że ta teza sprawdziła się w moim życiu, gdy po wojnie rozpocząłem pracę nauczycielską akurat na wsi.

Dobry słuch muzyczny, który stwierdzono u mnie już przy egzaminie wstępnym, nie uratował mnie jednak od klęsk, jakie mnie później dotknęły. Na nic się to bowiem nie zdało, że rozpocząłem naukę z dobrymi prognozami.

Z zapalem przemierzałem każdego ranka dość daleką drogę z Łazarza przez Most Dworcowy i przyległe do kolei zaułki aż do ulicy Skarbowej (dziś Chudoby), by wejść do obskurnego budynku przy ulicy Franciszka Ratajczaka. Wtedy nie odczuwałem całej szpetoty starej rudery z rozchwianymi, skrzypiącymi podłogami z żywych desek. Taki był gmach Seminarium Nauczyciel-

skiego Męskiego (zresztą żeńskiego też) imienia Ewarysta Estkowskiego w Poznaniu. Za nim rozciągało się ciasne podwóreczko. Drugi bok szkoły stanowił wysoki mur, trzeci — ślepa ściana trzypiętrowej kamienicy, czwarty — przedpotopowe drewniane ustępy, nie skanalizowane, zalatujące potwornymi smrodami. To ohydne podwóreczko służyło spacerom podczas pauz, a prócz tego ćwiczeniom z przysposobienia wojskowego i sportom. Może dlatego nigdy nie polubiłem gier piłkowych, przepadając zarazem za gimnastyką, odbywaną w małej, lecz czystej i przytulnej salce.

Może zupełnie inaczej potoczyłyby się moje losy uczniowskie, gdyby nie dyrektor seminarium, Julian Waga — człowiek zgryźliwy, nieprzyjaźnie usposobiony do młodzieży. W każdym razie był taki wtedy, bo ponoć wcześniej jego podejście do wychowanków kształtowało się inaczej. Zmienił się podobno i później, zdążywszy już niestety w ciągu kilku lat pokrzyżować drogi życiowe wielu uczniom seminarium, takim jak na przykład późniejszy śpiewak operowy Bardziejewski, jak Jabłoński, Błochowiak, Paradowski i inni.

Zaczął się wszystko od tego, że Waga obrzydził mi historię, której uczył metodą paznokciową, zadając od tego to do tego miejsca w podręczniku Nankego. Za pierwszymi dwójkami z tego przedmiotu posypały się dalsze, z języka polskiego, skwapliwie stawiane przez starego zrządę Peruckiego. Potem już nastąpiła cała lawina niedostatecznych. Nie doszłoby zapewne do niej, łatwiej przebrnąłbym przez szkolne niedogodności, gdyby nie domowa atmosfera uniemożliwiająca skupienie się nad nauką i zadaniami.

Z pewnością inaczej mogłyby potoczyć się moje losy, bo byli w seminarium dobrzy nauczyciele, których do dziś wspominam z sympatią i czcią, Jan Sztudynger, Janusz Nowak, następny po Peruckim polonista, Jan Patoka, w latach powojennych długoletni redaktor w Państwowym Zakładzie Wydawnictw Szkolnych; uciekł z seminarium od Wagi i już przed wojną zaczął pracować poza szkolnictwem. I jeszcze matematyk, Leonard Klóskowski, jowialny, lecz mądrze życzliwy człowiek, który krzycząc na młodzież, czynił to w jej obronie; należał do najzapalczywszych działaczy poznańskiej Rady Miejskiej. A także ksiądz Antoni Gryczka, który po odejściu

